

Edukacja w Chinach

Kiedy we wrześniu 2012 roku 6-letnie chińskie czworaczki z Shenzhen po raz pierwszy przekraczały bramę swojej nowej szkoły, nie podejrzewały, że wkrótce staną się sławne na cały świat. Rodzice, mimo że niezbyt bogaci, zapisali je do prywatnej szkoły, gdzie chłopcy oprócz tradycyjnej kultury chińskiej mają uczyć się także tańców latynoskich. Bracia wyglądali identycznie, przez co nauczyciele byli skonfundowani, bo nie mogli odróżnić ich od siebie. Matka chłopców ogoliła więc synom głowy, zostawiając na czubkach tylko kępki włosów w kształcie cyfr – odpowiednio od 1 do 4.

Wybrała cyfry arabskie, co miało uchronić najmłodszego syna przed pechem. Gdyby zdecydowała się na chiński zapis cyfry, miałyby niewątpliwie poczucie winy i może nawet została potępiona społecznie. Po chińsku cyfrę „cztery” wymawia się tak jak słowo „umierać” i unika się jej, tak jak gdzieś w kulturze polskiej unika się piątku trzynastego. Kultura zachodnia wybawiła więc matkę czworaczków od tego problemu.

W Chinach takie oznakowanie dzieci numerami nie szokuje, nie jest to bowiem państwo demokratyczne. System hierarchii w Chinach jest czymś normalnym i zdaniem Chińczyków ułatwia zachowanie porządku społecznego, który jest ważniejszy od indywidualnego dobra jednostki. Zawsze ktoś jest lepszy, a ktoś gorszy, a chińskich uczniów satysfakcjonuje tylko najwyższa pozycja. W państwie, w którym żyje miliard trzysta milionów ludzi i gdzie przez stulecia panował system feudalny, nie wydaje się to nawet aż tak poruszające jak gdzie indziej.

Jest jednak jedno „ale” – jest to brak akceptacji dla słabości. Przekonałam się o tym, oglądając zdjęcia klasowe chińskich znajomych. Za każdym razem słyszałam uwagi: „O, a ten kolega/koleżanka już nie żyje, popełnił/popełniła samobójstwo, bo nie radził/radziła sobie z nauką”. Kiedy zdumiona i przerażona dopytywałam, dlaczego uczniom nie udzielono pomocy, nie dano korepetycji, słyszałam w odpowiedzi: „Nie wiesz, że u nas jest wyścig szczurów? I tak prędzej czy później by wypadli. A tak uratowali przynajmniej swoje rodziny przed wstydem”. Cieszę się, że nie mieszkam w Chinach...

System edukacji wygląda w Chinach prawie tak jak w Polsce – sześciolatnie dziecko idzie na sześć lat do szkoły podstawowej, a potem na trzy lata do niższej średniej. Jest to edukacja obowiązkowa i niejednokrotnie bezpłatna (oczywiście istnieją też

drogie prywatne szkoły, tak jak w Polsce). Następnie, w zależności od dalszych planów i możliwości ucznia, decyduje się on albo na cztery lata szkoły zawodowej, albo na trzy lata szkoły średniej wyższej (w zależności od szkoły dochodzi nieduże lub wyższe czesne) i uniwersytet (te w czołówce to Uniwersytety Pekijski, Qinghua i Fudan w Szanghaju).

Większość chińskich studentów kończy edukację z dyplomem licencjata, którego uzyskanie zajmuje im 3-4 lata. Bardziej ambitni kończą studia z dyplomem magistra, który uzyskują po 3 latach, lub doktora, po kolejnych 2. Studiowanie medycyny trwa, tak jak w Polsce, 6-7 lat.

Edukacja sporo kosztuje, często więc o jej zakończeniu decydują kwestie ekonomiczne, a nie brak ambicji.

Na potrzeby tego artykułu poprosiłam o szczegóły znajomego Chińczyka, który kilka lat temu zakończył edukację i teraz pracuje w turystyce:

„Poszedłem do szkoły podstawowej, mając 6 lat. Codziennie mieliśmy 6 lekcji, 4 rano i dwie po południu. Każda po 45 minut, potem 10 minut przerwy. Po dwóch pierwszych lekcjach, około 10.00, jedliśmy drugie śniadanie. Soboty i niedziele mieliśmy wolne od szkoły. W czasie roku szkolnego mieliśmy dwie przerwy wakacyjne, miesięczną zimową i dwumiesięczną letnią. Uczyliśmy się chińskiego, matematyki, angielskiego, geografii i przyrody. Po lekcjach uczęszczaliśmy do kół zainteresowań związanych z naszym hobby – piłką nożną, ping-pongiem, szachami itp.

W każdym miesiącu zdawaliśmy test, a w każdym z dwóch semestrów mieliśmy egzamin. Byliśmy oceniani w zależności od wyników na testach i egzaminach. Po sześciu latach zdawaliśmy egzamin finalny decydujący o tym, do jak dobrej szkoły średniej się dostaniemy. Najpierw było to 3-letnie gimnazjum. Zamiast przyrody mieliśmy teraz biologię, fizykę i chemię.

Po trzech latach zdawaliśmy kolejny istotny egzamin decydujący, do jak dobrego liceum uda nam się dostać. Uczyliśmy się w nim kolejne 3 lata. W drugim roku nauki wybieraliśmy kierunek, mając do wyboru nauki przyrodnicze lub społeczne. W pierwszym przypadku zgłębialiśmy biologię, fizykę i chemię, w drugim – politykę, historię i języki obce. Po 3 latach nauki przystępowaliśmy do najważniejszego egzaminu decydującego, gdzie przyjdzie nam uczyć się dalej.

Ten maturalny egzamin ma już narodowy standard i jest bardzo ciężki ze względu na ogromną konkurencję. im więcej punktów tym bardziej uprzywilejowany kierunek na

dobrej uczelni, wszystko jest bowiem punktowane, a w całym kraju jest taki sam standard. Wszyscy w Chinach wiedzą, że im lepsze wykształcenie, tym lepsza potem praca. Do dziś pamiętam, że w klasie maturalnej światła w klasach pełnych uczniów paliły się do 21.00 lub 22.00. Uczniowie pracowali bardzo dużo i ciężko, także we wszystkie weekendy i wakacje.

Reasumując, podstawówka i gimnazjum to pestka w porównaniu z tym, co działo się później, czyli ze szkołą średnią, na którą od początku padał groźny cień egzaminu maturalnego. Wyniki ważne były ponad wszystko. Ktoś powiedział, że te 12 lat nauki mają sens tylko wtedy, gdy na maturze uzyska się tak wysokie wyniki, że dostanie się na dobry wydział dobrego uniwersytetu. To ogromna populacja Chińczyków wymusza tak ostry system selekcji”.

Mocno to zabrzmiało...

Słowa kolegi znajdują potwierdzenie w książce Chinki Amy Chua, która najpierw poruszyła Amerykę, a potem świat. W Polsce wydana została w 2011 roku pod tytułem „Bojowa pieśń tygrysicy” przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Chińska matka (typowa, jedna z wielu, choć może jednak bardziej bezwzględna niż te kilka, które poznałam osobiście), która macierzyńskie poczucie odpowiedzialności wyraża w wypełnianiu obowiązku zapewnienia dzieciom jak najlepszych wyników w nauce, nie cofa się przed krzykiem, groźbą, wymuszaniem i szantażem.

Zgodnie z naszym, europejskim podejściem do świata „łamię” ona swoje dzieci i zachowuje się w sposób sadystyczny, według Chińczyków – gorliwie wypełnia obowiązek. W zderzeniu z bardziej liberalnym niż polski podejściem do edukacji, które cechuje Amerykanów, porównanie jest szokujące. Oliwy do ognia dolewa fakt, że Chinka mieszka w Stanach i nie omieszkuje wytknąć leniwym jej zdaniem amerykańskim rodzicom ich ignorancji.

Pamiętać należy, że za Amy Chua stoi cały współczesny system chińskiej edukacji, który przetrwał czasy cesarstwa, a bazuje na systemie chińskich egzaminów, które wprowadzono w Chinach już w II wieku.

Poddawali się im nieliczni. Nie zapominajmy, że w Chinach aż do lat 60.-70. XX w. panował analfabetyzm, któremu wojnę wydał dopiero Mao, reformując pisownię – po uproszczeniu znaki zbudowane wcześniej z kilkunastu kresek składały się już tylko z kilku, co przy braku alfabetu bardzo ułatwiało naukę.

Obecnie, dzięki 9-letniemu obowiązkowi szkolnemu, 95% chińskich dzieci w wieku szkolnym uczęszcza do szkół.

Warto przyjrzeć się bliżej systemowi dawnych egzaminów. Pierwotnie ustne, z czasem ustne i pisemne, bazowały na konfucjańskich księgach i komentarzach do nich, innych klasycznych księgach, umiejętnościach pisania wierszy, prac na zadany temat, kaligrafowania i recytacji. Czasem ogłaszano egzaminy pałacowe, które miały za zadanie wyłonić specjalistów w zakresie znajomości dokumentów urzędowych, matematyki czy fizyki.

W czasach ostatnich dynastii, a szczególnie dynastii Qing, system był najbardziej złożony i dzielił się na egzaminy powiatowe, prowincjonalne i stołeczne-cesarskie. Odbytywały się co trzy lata, w trzech etapach i trwały trzy dni. Szczęśliwiec, który przeszedł przez wszystkie etapy, mógł przystąpić do najważniejszego egzaminu, którego zdanie dawało mu tytuł członka Cesarskiej Akademii Nauk.

Tak dawniej, jak i dziś popularne w Chinach kostiumowe filmy historyczne nie raz jako bohaterów pokazują młodych ludzi przygotowujących się do egzaminów. Uczących się przy świetle księżyca, z warkoczami sznurkiem przyczepionymi do sufitu, co miało zapobiegać opadaniu głowy i zasypianiu w czasie bezsennych, poświęconych nauce nocy, a także zdających egzamin w zimnych, słabo lub w ogóle nieogrzewanych salach, z dłońmi skostniałymi od zimna.

Takie filmy oglądała zapewne w dzieciństwie wraz z rodzicami Amy Chua, to na nich się wychowała, to one ją też ukształtowały, podczas gdy amerykańska młodzież śledziła w tym samym czasie losy bohaterów „Beverly Hills 90210”. 'Jeśli nie powstrzymamy się od oceny zgodnie z kanonami naszej kultury' – łatwo możemy wpaść w tę przepaść kulturową, dzielącą system edukacyjny chiński od amerykańskiego czy polskiego...

Jak zauważają naukowcy, poprzez wiedzę, co u sąsiada nie tylko za miedzą, stajemy się lepiej zorientowani w świecie, co nie znaczy że bardziej tolerancyjni, gdyż najistotniejszą sprawą pozostają systemy wartości dwóch stron, a te się znacznie różnią jak widać na przykładzie chińskiej edukacji w porównaniu z polską czy amerykańską.

Tekst: Agnieszka Putkiewicz

Zdjęcia: wikimedia.org.pl

Fundacja Edukacji Międzykulturowej

Projekt Mini Festiwa Edukacji Globalnej

www.miedzykulturowa.org.pl



Projekt jest współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w 2012 r.